



BIURO  
WYCINKÓW  
PRASOWYCH

Warszawa  
Pl. Starynkiewicza 7  
Tel. 28-59-59

KIERUNKI  
WARSZAWA

wydanie .....

Nr 17 z dn. 25. IV. 65



## PRYWATNE PIEKIELKO

BYDWA przedstawienia „Kto się boi Wirginii Woolf” Edwarda Albee’go, zarówno polska premiera w Teatrze Wybrzeże, jak i premiera warszawska w Teatrze Współczesnym, ściągają do teatru widzów nie tylko z grona tzw. bywalców i cmokierów. Trudno jeszcze powiedzieć, w jakim stopniu spowodowały to niewątpliwe walory sztuki i przedstawień, a w jakiej mierze szok, z którym widz opuszcza teatr. Być może, iż utwór Albee’go wzbudza zainteresowanie podobne do tych, jakie towarzyszyło przed stuleciami publicznym egzekucjom lub walkom gladiatorów. Bohaterowie sztuki nie są co prawda podobni ani do gladiatorów, ani do ćwiartowanych botrzyków, ale obdzierają się ze skóry, godności i człowieczeństwa bardzo dokładnie. Albee, sięgając w tej sztuce po konwencję realistyczną i tworząc w jej ramach utwór, który granice realizmu przekracza na zasadzie niemal patologii, daje jednocześnie dokładny obraz małżeńskiego szczęścia dwojga obywateli USA z tzw. klasy średniej. Brak dotkliwych kłopotów materialnych a zarazem ograniczona możliwość korzystania z luksusów współczesnego życia, zaostriły im apetyty, spowodowały rozgoryczenie jednej strony tego małżeństwa, pogłębiając spadek ambicji i ślamazarstwo drugiej. Autor schlebia przy tym modnym załom nad supremacją kobiety (z rodzaju jędzowatych) oraz degrengoladą mężczyzny, jako aktywniejszej w życiu (nie tylko intymnym) strony małżeńskiej. Dochodzi do tego wątpliwa uciecha, jakiej doznaje przeciętny widz, gdy pokazuje mu się profesora i intelektualistę w szlafroku, ośmieszanego i poniżanego przez własną żonę.

Dobrze, ale co mogą obchodzić naszego widza perypetie zamożnych Amerykanów, gdy mamy swoje różnorakie kłopoty. Wydaje się, że oprócz ostrej zjadliwości pod adresem owych amerykańskich strasznych mieszczan, w dodatku mieszczan oświeconych, zagrał Albee na uczuciach bardziej powszechnych. Na owym nęcącym przerażaniu cudzym okrucieństwem. A może nie tylko cudzym. Jakiś szczałek własnych sytuacji lub przeżyć odnajduje w tej sztuce niemal każdy z widzów. Jakiś tam kompleksik wyłazi na wierzch, rozrasta się i przeraża. Wrażenie zwiększa wspaniały dialog, oryginalny, trzymający w napięciu (choć chwilami nużący, jeśli podaje się go bez skrótów). Dalej — humor z rodzaju owego specyficznego humoru o podźwieku szkła zgrzytającego po kościach. Są to wielkie możliwości dla aktorstwa i reżysera. Zresztą dobremu aktorowi i — choćby rzemieślniczo — doskonałemu reżyserowi sztuka może się wydać samo-

grajem. Samograjem jednak nie jest, czego dowiodły dwa tak różne przedstawienia. Jerzy Goliński w Gdańsku bardziej zdynamizował przedstawienie przez skróty, położył nacisk na wydobycie bezpośredniego jej okrucieństwa. Zamknął postacie w niewielkiej przestrzeni, tworząc coś w rodzaju sartrowskiego piekła w „Przy drzwiach zamkniętych”. Rozegrał przedstawienie (mimo przerw) na jednym wielkim „wstrzymaniu oddechu” u widza.

Przedstawienie „Wirginii Woolf” w reżyserii Jerzego Kreczmara jest nieco rozciągnięte, bardziej finezyjne w poszczególnych scenach. Aktorstwo, przede wszystkim Jerzego Kreczmara i Antoniny Gordon-Góreckiej — jest oszczędne i zaskakujące intelektualnie a także precyzyjniejsze. Bezpłodność, rozumiana w przenośni i dosłownie, została w przedstawieniu warszawskim mocno zaakcentowana jako tragiczny węzeł sztuki. Bezpłodność klasy społecznej, określonego stylu życia, zmaterializowania i skomercjalizowania środowisk intelektualnych, które miały być w jakimś stopniu elita współczesnego społeczeństwa. Wulgarnie karierowiczostwo i praktyczym życiowym młodych, który jest wyolbrzymiony przez pozę i pragnienie wykazania się swoistą sprawnością w robieniu kariery, a wreszcie — odrzucenie wszelkich wartości etycznych. To właśnie pokazuje sztuka. Na szczęście daleko nam pod tym względem do „ideału amerykańskiego”, ale zjawisko kulturalnego i moralnego mieszczenia inteligencji nie jest i nam obce. Rzecz w tym, że mamy większe szanse na zahamowanie tego zjawiska. Wply-

wają na to zarówno nasze cechy narodowe, jak i inne warunki ustrojowe. Niebezpieczeństwo jednak istnieje, należy je docenić i uznać wartość sztuk, które może mimo-wolnie o nim przypominają.

Jan Kreczmar w roli Georga prowadzi grę bardzo finezyjnie, jest jednocześnie przewrotny i bezbrony, łatwo wygrywa z Nickiem — młodym naukowcem karierowiczem (Andrzej Antkowiak nie umiał wyjść poza schemat — był to jednak schemat bardzo życiowy). W rozgrywce z Martą nie ma zwycięzców. Są ludzie pokonani przez okrucieństwo losu, który sami sobie stworzyli, wessani w pustkę, w której nie mogą odróżnić barwy uczuć. Antonina Gordon-Górecka, zbyttno rozdrobniona w konstruowaniu postaci Marty, nadała jej silny akcent tragiczny w scenach końcowych, które — obok wprowadzenia — są mocnymi scenami przedstawienia. Tak więc silniejszy, bardziej sugestywny, ale może nieco uboższy w finezję kształt przedstawienia gdańskiego, skontrastował się w naszej pamięci z rozbudowanym, bardziej analitycznie poprowadzonym przez Jerzego Kreczmara przedstawieniem warszawskim, które ciążyło ku wielkiemu uogólnieniu małżeńskiego piekielka Marty i Georga.

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

Teatr Współczesny w Warszawie:  
Edward Albee „Kto się boi Wirginii Woolf”. Reżyseria Jerzy Kreczmar, scenografia Otto Axer.